

Maria Terlikowska

DRZEWO DO SAMEGO NIEBA

ilustrowała Teresa Wilbik



Drzewo

Na środku naszego podwórka rośnie drzewo. Nigdy nie słyszeliśmy, żeby ktoś powiedział o nim – kasztan albo topola, albo lipa. Mówimy po prostu – drzewo. Bo nie ma innych drzew na podwórku. Nawet by się nie zmieściły.

Podwórko jest małe, z trzech stron otoczone przez trzypiętrowe kamienice, stare i brzydkie. Z czwartej jest niski budynek, w którym kiedyś była kuźnia. Dziadek Frączak pamięta, jak woźnice przyprowadzali tu konie do podkucia. To było bardzo dawno. Ale drzewo już wtedy rosło, prawie tak samo wysokie jak teraz.

Bo drzewo jest wysokie. O wiele wyższe od starej kuźni, która jest dzisiaj garażem. Wyższe od otaczających je trzypiętrowych domów. Na całej naszej ulicy nie ma takiego drzewa, więc wszyscy nam zazdroszczą. Słyszeliśmy, jak raz pani Kulikowa spod ósmego mówiła do naszej mamy:

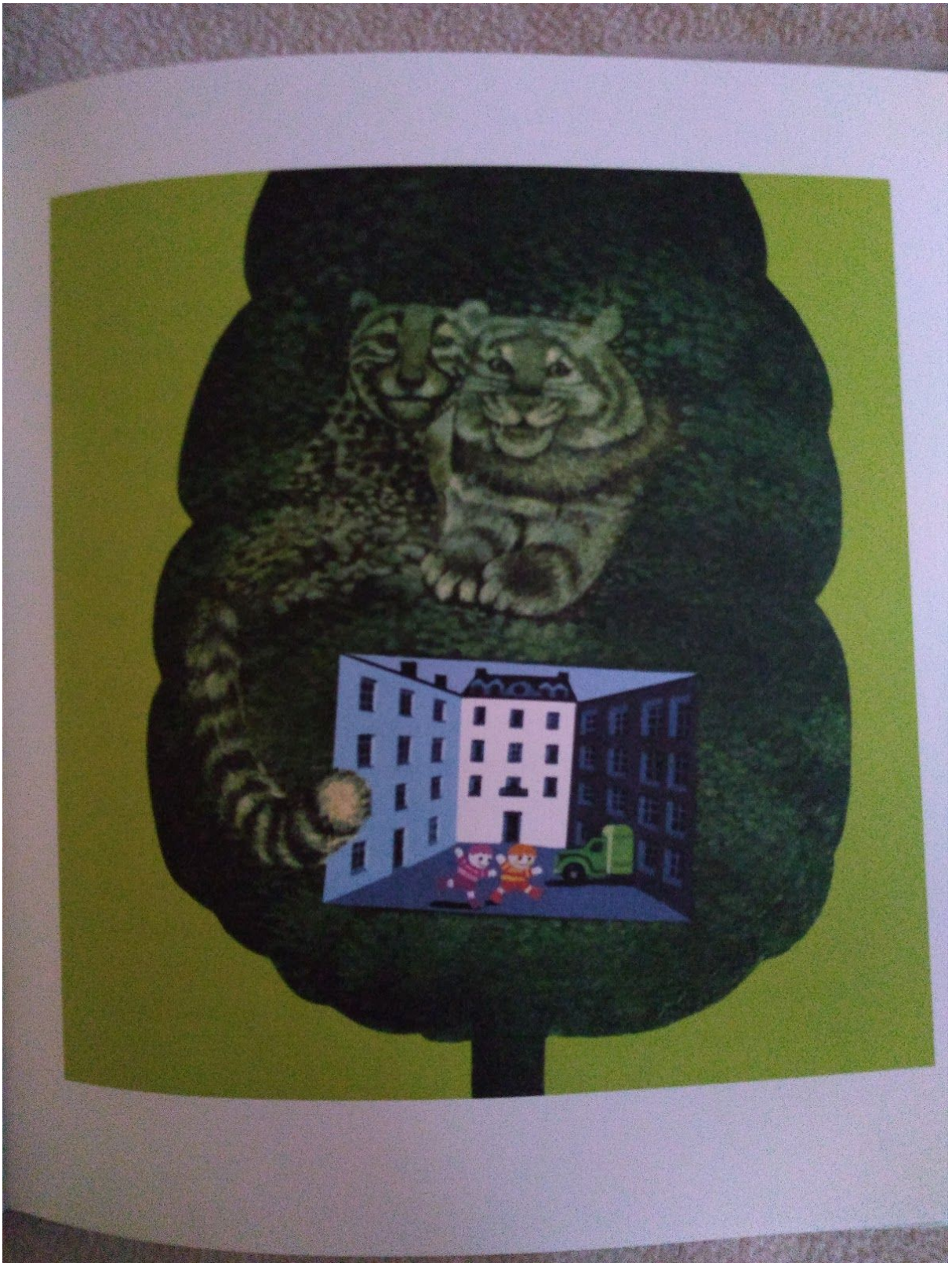
– U was to chociaż widać, że jest wiosna! Bo u nas – ani krzaczka nie ma!

Bardzo kochamy nasze drzewo. Bo co byśmy bez niego robili? Na nowych osiedlach dzieci mają huśtawki, karuzele i mnóstwo miejsca do biegania. A my mamy ciasne podwórko, przez które ciągle przejeżdża jakaś ciężarówka. Tylko drzewo jest nasze. To

jest dżungla pełna dzikich zwierząt. To jest Szklana Góra. To jest cudowne miejsce, z którego widać wszystko.

Na drzewo wdrapujemy się po ławce. Trzeba stanąć na poręczy, oprzeć się brzuchem o pień i chwycić rękami za najniższy konar. Każde dziecko z naszego podwórka pamięta dzień, kiedy po raz pierwszy udało mu się ta sztuka. Może dlatego staramy się bardzo szybko rosnać. Właśnie żeby dosięgnąć rękami najniższej gałęzi. Potem trzeba podciągnąć się na rękach tak, żeby stopami zahaczyć o gałąź. Potem przekręcić się – i usiąść na gałęzi, z nogami w powietrzu, z głową wśród zielonych liści.

A tam zaczyna się przygoda.



Pierwszy konar

Z pierwszej gałęzi, a właściwie z pierwszego konara – bo taka gruba gałąź nazywa się konar – widać tylko kuchnię starej pani Rachlińskiej. Niby nic nadzwyczajnego – kuchnia. Byliśmy niejedną raz w tej kuchni i pani Rachlińska przemywała nam rozbite kolana. Ale z gałęzi, przez zielone liście, kuchnia pani Rachlińskiej wygląda zupełnie inaczej. Może dlatego, że nie ma tam nas ani naszych rozbitych kolan, tylko sama pani Rachlińska.

Ona jest bardzo sama. Z gałęzi, przez okno widać to wyraźnie. A najbardziej sama jest tuż przed wieczorem, kiedy nie ma żadnych kolan do przemycia. Ale przeważnie są.

Pani Rachlińska wcale nie ma wnuków, bo jej dzieci zostały zabite w czasie wojny, kiedy były zupełnie młode. Mamusia powiedziała, żebyśmy nie dokuczali pani Rachlińskiej. Ale my jej nie dokuczamy. Bo to przecież ona ujęła się za nami, kiedy pierwszy raz wdrapaliśmy się na drzewo.

To był piękny dzień. Liście drzewa były wiosenne, jasnozielone, a kora brązowa jak piernik. Staszek wdrapał się pierwszy, siadł okrakiem na konarze i podał mi rękę. Teraz już nikt nie musi mi pomagać, ale wtedy brakowało mi do konara tych dwóch ważnych centymetrów.

Co za szczęście! Oto jesteśmy na drzewie – Staszek i ja.

I właśnie wtedy usłyszeliśmy głos mamy Doroty:

– Pani Lichocka! Pani Lichocka! Pani dzieciaki łażą po drzewie! Zaraz spadną i się zabiją!

Przez jasnozielone liście zobaczyliśmy mamusię wychodzącą z ciemnej bramy. Wracała ze swojej fabryki obciążona siatką i torbą z zakupami. Mamusia prędko uniosła głowę i krzyknęła jakimś cienkim, przestraszonym głosem:

– Dzieci, nie ruszajcie się! Zaraz wam pomogę zejść!

Ale zanim mamusia przebiegła tych parę kroków od bramy do drzewa, Staszek i ja zeskoczyliśmy na ławkę. Mama Doroty mówiła później, że zeskoczyliśmy jak jakieś małpy.

Kiedy mamusia zobaczyła, że nic nam się nie stało, zaczęła krzyczeć, że pewnie chcemy połamać sobie nogi, że mamy popdrapane kolana, a Staszek rozdarł kieszeń od kurtki. Nawet zaczęliśmy już trochę popłakiwać, kiedy stara pani Rachlińska wychyliła się przez okno swojej kuchni i powiedziała:

– Zaraz przemyję chłopcom kolana wodą utlenioną. A kieszeń zreperuję z prawdziwą przyjemnością. Niech się pani nie denerwuje, pani Basiu, bo naprawdę nic się nie stało.

Pani Basia to nasza mama.

– Dziękuję pani! – zawołała mamusia. – Sama to zrobię.

– I bez tego pani ma dość roboty – powiedziała pani Rachlińska. – A dla mnie to radość zająć się dziećmi, chociaż na krótko...



Wtedy po raz pierwszy byliśmy u pani Rachlińskiej i dowiedzieliśmy się, dlaczego pani Rachlińska nie ma wnuków.

- To pani chyba jest smutno? - spytał Staszek.

- Nie - powiedziała pani Rachlińska. - Przecież mogę na was patrzeć, prawda?

Drugi konar

Zanim wdrapaliśmy się na drugi konar – była druga awantura.

Nie wiemy dlaczego, ale nasza mamusia bardzo przejmuje się tym, co mówi mama Doroty. A mama Doroty mówi dużo i głośno, tak że słyhać na całym podwórku.

– Pani Lichocka! Pani dzieciaki znów na drzewie! Jeśli pani chce mieć kaleki, to proszę bardzo. Ale na pani miejscu ja bym je zamykała na klucz.

Bo mama Doroty zamyka Dorotę na klucz.

Więc mamusia tym razem też się bardzo zdenerwowała i nie pozwoliła nam włązić na drzewo. I nie wiadomo, co by to było, gdyby właśnie do bramy nie wjechała ciężarówka. Kierowca wjechał tak gwałtownie, że ledwie zdążyliśmy odskoczyć.

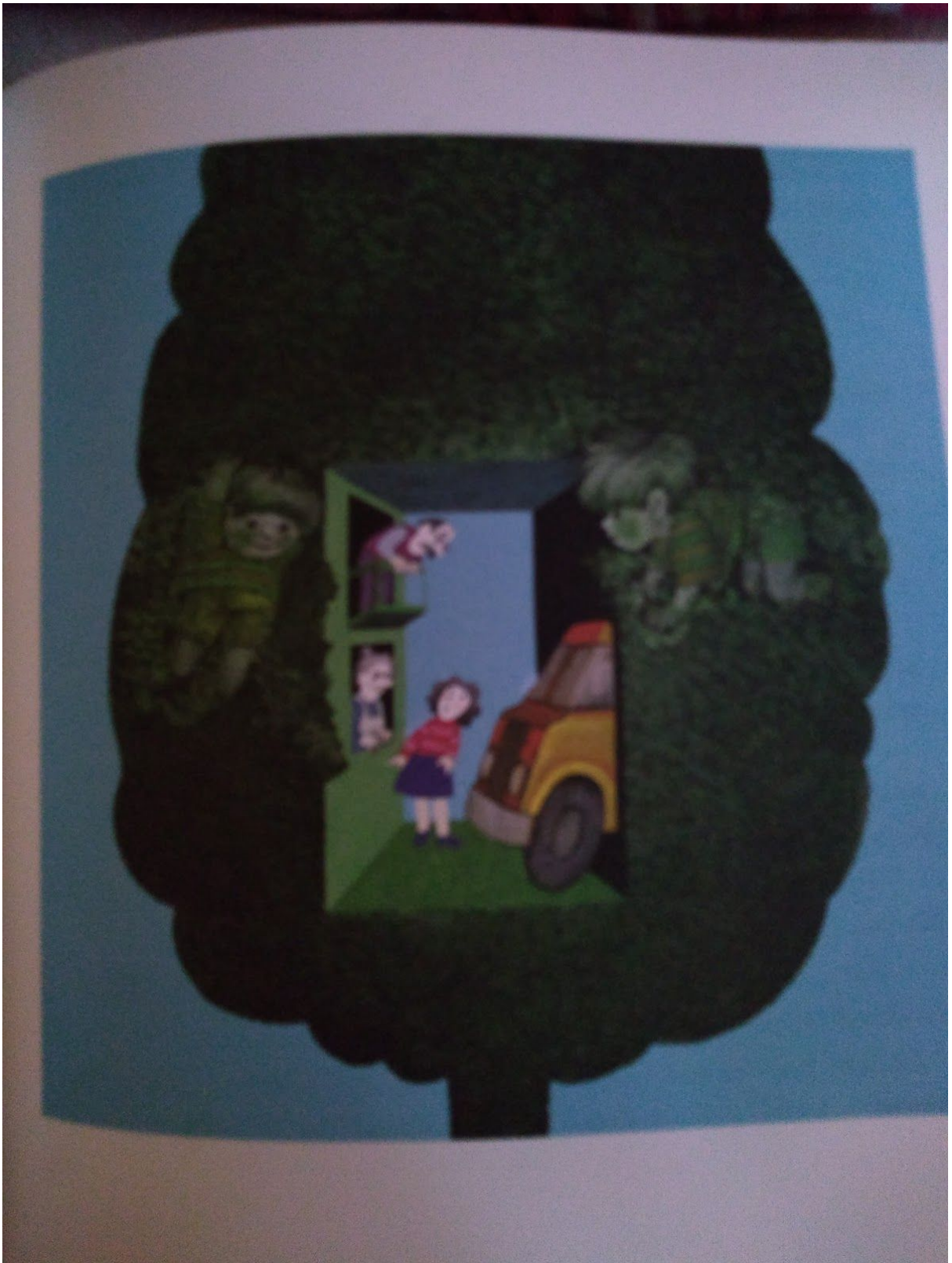
– Skaranie z tymi samochodami! – krzyknął dziadek Frączak z balkonu. – Już lepsze były konie.

– I tak cud, że jeszcze żadnego dzieciaka nie przejechali – dodała pani dozorczyńni.

– A z tego wynika – powiedziała nasza kochana pani Rachlińska – że dzieciom bezpieczniej na drzewie niż na podwórku.

– Co też pani opowiada! – krzyknęła mama Doroty. – Gdyby pani miała dzieci, to...

W tym miejscu mama Doroty zamilkła. Pewnie się jej przypomniało, dlaczego pani Rachlińska nie ma dzieci. I mamusi też



się to musiało przypomnieć, bo powiedziała swoim najmilszym, najbardziej serdecznym głosem:

– Ma pani rację, pani Rachlińska. Dzieciom bezpieczniej będzie na drzewie.

A do nas, trochę surowiej, ale nie za bardzo surowo:

– Tylko nie włączcie za wysoko. I na miłość boską – nie spadnijcie!

Potem mogliśmy już spokojnie wleźć na drugi konar. Jest gorszy od pierwszego. Widać z niego tylko mieszkanie krawcowej. Nic ciekawego.

Ale w domu, wieczorem, kiedy już leżeliśmy w łóżkach, mamusia powiedziała tatusiowi:

– Jeżeli nie dostaniemy prędko nowego mieszkania, to chyba zapiszę dzieci do świetlicy. Czy wiesz, gdzie one się bawią po szkole? Na drzewie!

– Na jakim drzewie? – spytał tatuś, nie odrywając oczu od swojej grubej książki, w której nie ma nic ciekawego, tylko same liczby i jakieś zygaczki.

– Zostaw na chwilę tę swoją elektronikę! – zawołała mamusia. – Na jakim drzewie?! Na tym wielkim drzewie, na podwórku!

– Nie na takie drzewa wchodziłem, kiedy byłem w ich wieku – mruknął tatuś. – A mieszkanie dostaniemy, może już za rok.

Za rok! Ale rok jest bardzo długi. Przez rok można poznać całe drzewo – konar po konarze – aż do samego wierzchołka.

Zaklęta Dorota

Trzeci konar zdobyliśmy w poniedziałek. To było w dwa dni po przyjeździe babci. Bo mamusia nie zapisała nas do świetlicy, tylko uprosiła babcię, żeby trochę z nami pomieszkała.

- Ale jak mi będziecie ciosać kołki na głowie - powiedziała babcia - to zaraz wracam do Pruszkowa.

Powiedzieliśmy, że nigdy nikomu nie ciosaliśmy kołków na głowie i nawet nie wiemy, jak to się robi. I poprosiliśmy, żeby babcia nie wracała do siebie, do Pruszkowa, tylko upiekła nam bułeczki z rodzynekami, takie jak zawsze.

Babcia upiekła. Jak już były gotowe, spytaliśmy, czy możemy zanieść dwie bułeczki pani Rachlińskiej, która wcale nie ma wnuków, więc nie ma jej kto przypomnieć, żeby upiekła bułeczki z rodzynekami.

- Bardzo dobry pomysł - powiedziała babcia. - Nawet sama z wami pójdę, żeby poznać panią Rachlińską, bo to na pewno jest starsza osoba, w sam raz dla mnie.

Rzeczywiście, pani Rachlińska była w sam raz dla babci. I babcia była w sam raz dla pani Rachlińskiej. A my mogliśmy spokojnie wejść na trzeci konar, bez żadnego ukrywania się, bo pani Rachlińska na pewno przekona babcię, że drzewo jest w sam raz dla nas.

Nie jest łatwo wejść na trzeci konar, bo jest grubszy od pierwszego i drugiego. Trudno go objąć. Do tego trzeci konar rośnie od razu ku górze, w stronę lewej oficyny. Za to, kiedy się już wlało na trzeci konar, można po nim wspiąć się jak po drabinie, prawie do samych okien drugiego piętra.

A na drugim piętrze, właśnie w lewej oficynie, jest nasze mieszkanie.

Najpierw myśleliśmy, że będziemy mogli wejść do naszego mieszkania przez otwarte okno. Ale nie. Konar zakręcał bardziej w prawo. Trzymając się bocznych gałęzi, doszliśmy do wygodnego rozwidlenia. Można tu było usiąść i odpocząć.

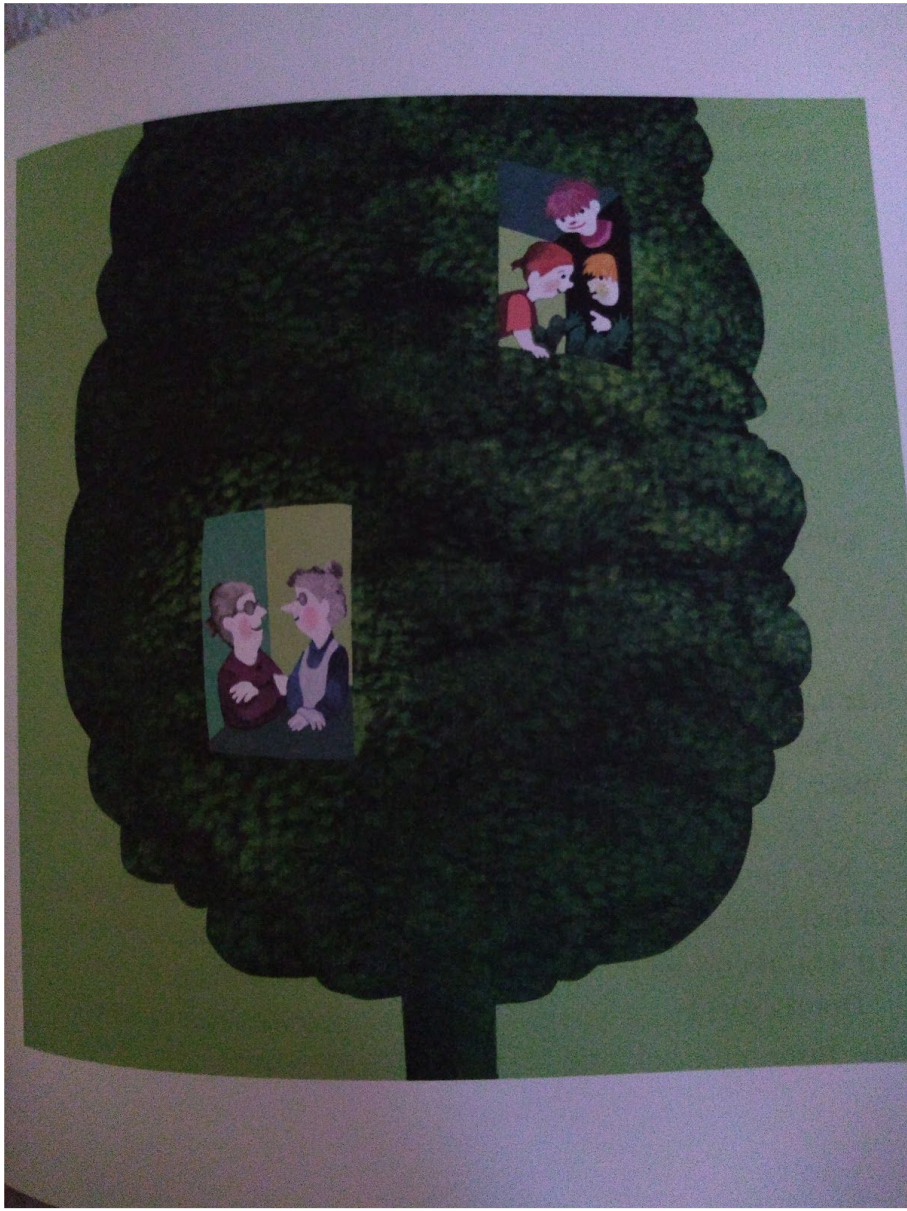
To było bardzo dobre miejsce. Przez zielone liście widzieliśmy okno zastawione kaktusami.

– Gdybyśmy tam chcieli wejść, tobyśmy się porządnie pokłuli – zachichotał Staszek. – Na co komu tyle kaktusów? Chyba po to, żeby złodziej nie wszedł.

Nagle za kaktusami coś się poruszyło.

– Rety! – krzyknął Staszek. – Przecież to Dorota!

Szkoda, że Dorota nie ma długich, jasnych włosów. Wyglądałaby wtedy za tymi kaktusami i za szybą jak zaklęta królowna. Bo przecież zaklęte królowny siedzą uwięzione na Szklanych Górach i nie mogą zejść. Chyba że znajdzie się królewicz, który wejdzie na Szklaną Górę i je odklnie.



Staszek nie chciał być królewiczem. Powiedział, że to bujda. Ale pomyśleliśmy, że i bez królewicza możemy coś zrobić dla Doroty.

– Czy możesz otworzyć okno?! – zawołał Staszek.

Dorota otworzyła.

– Ojej – powiedziała – jak wy się nie boicie? Przecież możecie spaść!

– Nie spadniemy, bo się mocno trzymamy – odpowiedział Staszek. – A ty byś się bała?

– Ja? – pisnęła Dorota. – Ja już się boję, jak na was patrzę!

– To szkoda – powiedziałem. – Gdybyś się nie bała, to moglibyśmy cię odkłąć.

– Odkłąć? Za co? – spytała Dorota, wytrzeszczając oczy.

– Nie za co, tylko od czego. Moglibyśmy cię odkłąć od zaklęcia.

– Bo ty jesteś zaklęta Dorota, zamknięta na Szklanej Górze za kaktusami.

Dorota nie od razu zrozumiała, o co chodzi. Ale kiedy zrozumiała, bardzo jej się to podobało.

– Czy jestem podobna do zaklętej królowny? – spytała.

Nie mogliśmy jej odpowiedzieć, bo nigdy nie widzieliśmy żadnej królowny. Zresztą w głębi mieszkania zazgrzytał klucz. To wracała mama Doroty. Woleliśmy się jej nie narażać.

Dorota szybko zamknęła okno. Ale przedtem zdążyła szepnąć:

– Jutro mnie odklniecie. Do widzenia!

Zezus

To nie nasza wina, że we wtorek nie od razu odkłęliśmy Dorotę. Zanim doszliśmy do rozwidlenia na trzecim konarze, zobaczyliśmy, że okno Doroty jest otwarte, kaktusy odsunięte, a mama Doroty przeciera szyby mokrą ścierką.

Dorota stała przy drugim oknie i dawała nam znaki, że teraz nie można. Jakbyśmy sami tego nie wiedzieli.

Nie chciało nam się schodzić z drzewa. Dobrze by było zdobyć czwarty konar. Ale czwarty konar był zajęty przez Pawła. Paweł chodzi do piątej klasy i ma nas za psi pazur, tylko dlatego, że my chodzimy do drugiej.

Zsunęliśmy się niżej i już chcieliśmy zajrzeć do kuchni pani Rachlińskiej, kiedy Staszek powiedział:

- Patrz, dziadek Frączak wyprowadził Burląja na spacer.

Burląj, oczywiście, podbiegł do drzewa i zaczął obwąchiwać.

- Wiesz? - szepnąłem, żeby Paweł nie usłyszał. - Gdyby Burląj był większy i miał grzywę, to byłby prawie jak lew.

- Aha... - odszepnął Staszek. - A my jesteśmy podróżnikami, którzy zabłądzili w dżungli...

- I siedzimy na babołabie, żeby nas lew nie zjadł! - zawołałem głośno.

Okazało się, że trochę za głośno, bo Paweł usłyszał.

- Nie na babołabie, tylko na baobabie, mikrusie - powiedział.

Chciałem mu odpowiedzieć, żeby się nie wymądrzał, ale nie zdążyłem, bo na dole zaczęło się coś dziać. Burłaj odskoczył od drzewa i pognął w stronę pojemników na śmieci.

– Burłaj, nie rusz śmieci! – krzyknął dziadek Frączak.

Ale Burłajowi nie chodziło o śmieci, tylko o małego, chudego kotka, który właśnie wylazł spod uchylonej blaszanej pokrywy. Burłaj szczeakał jak szalony i obskakiwał pojemnik.

– Kiciuś, uciekaj! – krzyknąłem.

Ale kotek nie potrzebował mojej zachęty. Jednym wspaniałym susem przeskoczył przez Burłaja i popędził do drzewa...

W ten sposób poznaliśmy Zezusia.

Jeszcze dziś pamiętam, jak siedział rozplaszczony na pierwszym konarze, mały, chudy i bardzo brudny. Miał szarą, przegowaną sierść, pozlepianą w strączki. Do tego wszystkiego był zezowaty.

– To mógłby być tygrys – powiedziałem bez przekonania.

I znów ten przemądrzały Paweł musiał się wtrącić.

– Jeżeli ten kundel na dole jest lwem, to o żadnym tygrysie nie ma mowy.

– A niby dlaczego? – spytał Staszek zaczepnie.

– A niby dlatego – odpowiedział Paweł – że lwy żyją w Afryce, a tygrysy tylko w Azji. Ale, oczywiście, takie mikrusy nie mają o tym pojęcia. No, bawcie się tym swoim dożywotnio przestraszonym tygrysem.



I niedbale zsunął się z drzewa. Nie zlazł, tylko się właśnie zsunął.

A my zostaliśmy na drzewie z Zezusiem. Już wtedy czuliśmy, że coś musimy z nim zrobić. Ale czy ktoś zechce wziąć zezowatego kotka?

My byśmy wzięli, ale mamy Maćka. To bardzo wojowniczy kot. Pani Rachlińska ma Salomona, a dozorczyńni – Buraskę.

Dziadek Frączak odpada z powodu Burłaja.

– Damy kota Dorocie – postanowił Staszek. – Na pewno się ucieszy.

Ale przedtem musieliśmy zabrać Zezusia do domu i trochę go wmyć. Zaklętym królewnom nie daje się brudnych kotów.

Zdobycie Szklanej Góry

Nie wiem, czy któryś z rycerzy wchodzących na Szklaną Górę był tak podrapany jak Staszek i ja. Rycerze, zdaje się, musieli walczyć z sowami, a może nawet ze smokami. Ale za to nie mieli ze sobą Zezusia. To on nas tak urządził.

Zezus podrapał nas już podczas mycia, chociaż naprawdę uważaliśmy, żeby mydło nie włożyło mu do oczu. Ale prawdziwy cyrk zaczął się dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy holować Zezusia na drzewo.

– I czego się wyrywasz, głupi kocie...? – zdenerwował się Staszek. – Przecież przed godziną sam wskoczyłeś na to samo drzewo!

Ale Zezusz nie chciał zrozumieć, że ciągniemy go na drzewo dla jego własnego dobra. Widocznie bardzo nie lubił, jak go się do czegoś zmusza. Zanim dopełzliśmy pod okno Doroty, mieliśmy twarze podrapane do krwi.

– Jak wy wyglądacie! – zawołała Dorota. – Szczęście, że mamusi nie ma w domu, bo zemdlałaby ze strachu.

– Ale nie zemdleje, bo poszła do magla – powiedział Staszek, szamocząc się z Zezusiem, który wczepił mu się pazurami w koszulę.

– Ojej, kotek! – pisnęła Dorota. – To wasz?

– Może być twój, jeżeli chcesz – powiedziałem.

Mieliśmy trochę kłopotu z odczepieniem Zezusia od koszu Staszka. Chwyciłem kotka za kark i podałem go Dorocie.

– Ojej, nie dosięgnę! – zawołała Dorota.

Przez chwilę myśleliśmy, że cała nasza wyprawa na nic. Ale okazało się, że Dorota nie jest aż tak bardzo zaklęta, żeby nie mieć głowy na karku.

– Czekajcie! – zawołała. – Zaraz przyniosę koszyk.

I po chwili wyciągnęła do nas koszyk zahaczony o kij od szczotki. Wsadziliśmy Zezusia do kosza i Dorota wciągnęła go do mieszkania.

Zezuś, usadowiony na parapecie okna, natychmiast przestał miauczeć. Zrobił prześliczny grzbiet i otarł się pieszczotliwie o rękę Doroty.

– Nigdy wam tego nie zapomnę – powiedziała Dorota, jakby była prawdziwą zaklętą królową.

– Teraz już jesteś odklęta! – zawołał Staszek.

Zsunęliśmy się z drzewa – dumni i podrapani. I poszliśmy prosto do pani Rachlińskiej, żeby przemyślała nasze rycerskie rany.

– Daliście kotka Dorocie? – powiedziała. – To dobrze... Choć nie wiem, co na to powie jej mama...

Mniej więcej po godzinie dowiedzieliśmy się, co powie mama Doroty. Słysząc ją było na całym podwórku.

– Kot wlaź do mieszkania! A jeżeli wlaź kot, to i złodziej wlezie! Pani dozorczyńni, słyszy pani? Po drzewie wlaź!



- Kto wlaźł po drzewie? Bandyta? - spytał dziadek Frączak ze swego balkonu.

- Wejdzie i bandyta! Zobaczycie! - krzyczała mama Doroty. - Z tym drzewem człowiek nie jest pewien dnia ani godziny! Idę na skargę do administracji!

- Ja też idę na skargę, bo mi sufit zacieka! - krzyknęła gruba pani z trzeciego piętra.

- A ja mam dziurę w suficie, bo tynk odpada! - huknął siwy malarz z poddasza.

- Nic nie rozumiem - powiedział dziadek Frączak, który jest trochę głuchy. - To jak ten bandyta wlaźł? Po drzewie czy przez dziurę w suficie? Eee, tam - machnął ręką - u nas i tak nie ma co kraść. Ja się nie boję bandytów.

My też nie baliśmy się bandytów. Przecież wiedzieliśmy, że to nie bandyci łażą po naszym drzewie.

Nieprzyjaciel pod drzewem

Stał pod drzewem na lekko rozstawionych nogach, z rękami wsuniętymi w kieszenie spodni. Wyglądał wspaniale i trochę groźnie.

Za to ten drugi był całkiem zwyczajny. W granatowym kombinezonie i gumowych butach.

– Nie da rady, panie kierowniku – mówił Zwyczajny. – Blacha przerdzewiała na amen. Na dobrą sprawę trzeba by dać nowe rynny. Bo tych starych to się nie da przepchać. Rozleczą się. Więc jak, damy nowe?

– Mowy nie ma! – powiedział Wspaniały wspaniałym głosem. – Dom jest przeznaczony do rozbiórki. Najdalej za dwa lata już go nie będzie.

Nie będzie naszego domu!

Niby wiedzieliśmy od tatusia, że wszyscy się stąd wyprowadzimy do nowych bloków. Ale trudno nam było uwierzyć, że nasz dom po prostu rozwałą.

I nagle obaj ze Staszkiem pomyśleliśmy o tym samym: co się stanie z drzewem?

Ta myśl wydała nam się tak okropna, że przez chwilę staliśmy jak głusi. Widzieliśmy, że Wspaniały i Zwyczajny poruszają ustami, ale nie słyszeliśmy ani słowa. Zupełnie jak w telewizji, kiedy zepsuje się fonia.

Gdy odzyskaliśmy słuch, Zwyczajny właśnie mówił:
– ... a najgorsze to drzewo. Jesienią liście opadają na dach
i zapychają rynny.

– Wiem, lokatorzy ciągle skarżą się na zacieki – powiedział
Wspaniały. – Trzeba będzie odpiłować parę gałęzi.

– Najlepiej ściąć całe drzewo – powiedział Zwyczajny. – Komu
ono potrzebne?

Komu potrzebne drzewo? Ależ ono jest nam potrzebne jak...
jak... Właśnie, jak co? Nie potrafiliśmy tego powiedzieć. Ale to
rozumiało się samo przez się.

Wspaniały i Zwyczajny rozmawiali jeszcze chwilę o zapcha-
nych rynnach i przeciekających sufitach. A potem odeszli. Patrzy-
liśmy za nimi z nienawiścią.

To było w czwartek. A w piątek po południu zdarzyła się ta
straszna rzecz z Pawłem.

Mamusia posłała nas po szczypiorek do twarogu na kolację.
Kiedy wracaliśmy z tym szczypiorkiem, do naszej bramy wjeżdżała
nysa. Tak jakoś prędko wjeżdżała, że nawet nie zdążyliśmy się z tyłu
uwiesić. Chociaż może to lepiej, bo mamusia nie pozwala czepiać się
samochodów. Więc poczekaliśmy chwilę, aż nysa wjedzie na podwórze –
i wbiegliśmy za nią do bramy.

I wtedy usłyszeliśmy krótki, ostry krzyk, a potem łoskot.
I prawie natychmiast odezwało się mnóstwo głosów.

– Co się stało?

- Wypadek!

- Prędko, pogotowie!

Na podwórku było mnóstwo osób. Wszyscy tłoczyli się wokół nysy, która stała jakoś dziwnie krzywo, jakby oparta o drzewo. Z szoferki gramolił się kierowca, strasznie czerwony na twarzy.

- Zabił dzieciaka! – krzyknęła przeraźliwie mama Doroty.

- Nie zabiłem! Sam skoczył mi pod koła! – wykrzyknął na to kierowca.

- Nieprawda! – krzyknęła mama Doroty. – To morderca!

- Zabił mi dziecko! Zabił mi dziecko – szlochała jakaś kobieta.

- Aresztować go!

- Tak, zawołać policję!

- Lekarza! Pogotowie!

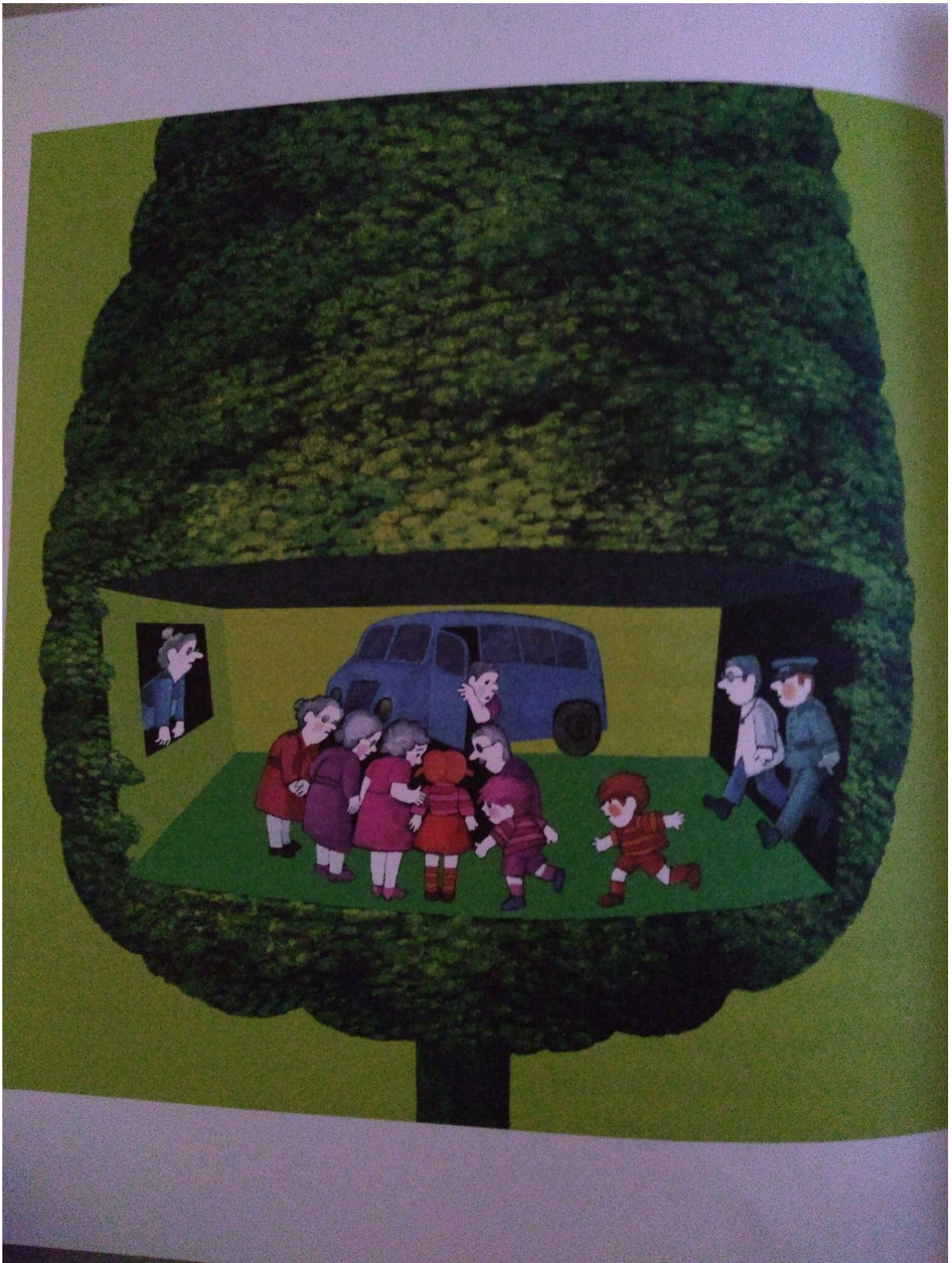
Przepchnęliśmy się przez tłum. Paweł leżał tuż przy prawym przednim kole nysy. Był bardzo blady i miał zamknięte oczy. Przy nim klęczała zapłakana kobieta. Znaliśmy ją, to mama Pawła. Obok stała Bożena, koleżanka Pawła z piątej klasy. Bożena była prawie tak samo blada jak Paweł.

- Już idzie policja! – zawołała pani dozorczyńni.

Kierowca szarpnął się, jakby go ktoś ukłuł.

- To nie moja wina! – krzyknął zachrypniętym głosem. – Panie władzo, przysięgam, że chłopak skoczył z drzewa prosto pod koła! To przez to cholerne drzewo!

- Proszę się rozstąpić! – zawołał jakiś ostry głos.



Ludzie odsunęli się i przepuścili policjanta i pana w białym fartuchu.

- Lekarz pogotowia - powiedział ktoś cicho.

Pan w białym fartuchu pochylił się nad Pawłem i wziął go za rękę.

- Żyje - powiedział. - Zaraz go przewieziemy do szpitala.

Ale już nie widzieliśmy, jak zabierali Pawła. Bo właśnie wtedy przybiegła mamusia i kazała nam iść do domu. Nawet nie pozwoliła nam zaczekać, aż pan policjant aresztuje kierowcę.

Bożena płacze

Pan policjant wcale nie aresztował kierowcy. Mama Doroty mówi, że to wielka szkoda, bo tym kierowcom dawno się należało. Ale pani Rachlińska powiedziała nam, że kierowca był niewinny, bo Paweł naprawdę zeskoczył z drzewa prosto pod nysę. Pani Rachlińska widziała to na własne oczy, bo akurat wyglądała przez okno.

– Ale dlaczego Paweł to zrobił? – spytał Staszek. – Przecież musiał słyszeć, że nysa nadjeżdża.

– Nie wiem, dlaczego to zrobił – powiedziała pani Rachlińska – chociaż trochę się domyślam...

Siedzieliśmy razem z babcią w kuchni pani Rachlińskiej, przy oknie i piliśmy herbatę z ciasteczkami. Nagle pod oknem ktoś zaszlochał.

Wychyliliśmy się ze Staszkiem, żeby zobaczyć, kto płacze. To była Bożena.

– Co się stało, Bożenko? – zapytała pani Rachlińska. – Chodź do nas, dam ci dobrej herbatki z kruchymi ciasteczkami.

– Dziękuję... – załkała Bożena. – Ja... ja słyszałam, co pani przed chwilą mówiła.

– Ale dlaczego płaczesz? – zainteresowała się babcia.

– Bo ja... – chlipnęła Bożena. – Bo Paweł...



– Pewnie Paweł skoczył z drzewa, żeby się przed tobą popisać – powiedziała pani Rachlińska spokojnym głosem.

– Skąd pani wie?! – zawołała Bożena.

– Wiem, bo bardzo was lubię – powiedziała pani Rachlińska. – Ciebie też, Bożenko. I nie płacz. Paweł wyzdrowieje. A teraz chodź, bo herbata wystygnie.

Potem rozmawialiśmy o Pawle. Ma złamaną nogę i musi przez sześć tygodni leżeć w gipsie. Ale może już za tydzień rodzice zabiorą go do domu.

Właśnie kończyliśmy jeść ciasteczka – były bardzo smaczne – kiedy ktoś zapukał.

– Proszę! – zawołała pani Rachlińska.

Najpierw zobaczyliśmy wielki bukiet bzu, a potem kierowcę. Tego, co przejechał Pawła. Kierowca przyszedł podziękować pani Rachlińskiej za to, że go nie wsadzili do więzienia. Właściwie to zupełnie miły człowiek. Opowiadał, jaki ten garaż niewygodny i jak trudno do niego wjechać przez bramę i ciasne podwórko.

– Ale już teraz, pani szanowna, będę wjeżdżał powoli, jak ślimak – powiedział. – Obiecuję szanownej pani, że nikogo nie potrącę. A jak już zetną drzewo, to będzie całkiem bezpiecznie.

– Co pan powiedział?! – zawołała pani Rachlińska. – Zetną drzewo?

– No pewnie – powiedział kierowca. – Nasz kierownik już się o to postara.

Miły człowiek? Wcale niemiły! To jeszcze jeden wróg naszego drzewa.

Poszedł. A pani Rachlińska spojrzała na nas z wojowniczym uśmiechem.

– Nie bójcie się. Nie pozwolimy zabrać naszego drzewa!

Paweł w gipsie, a my w łaskach

Chociaż wierzyliśmy pani Rachlińskiej, jednak mimo woli zaczęliśmy patrzeć na drzewo z niepokojem, tak jak się patrzy na bardzo chorą osobę, która może umrzeć. Ile to osób chce śmierci naszego drzewa? Pani, której zacieka sufit, malarz z poddasza, któremu odpada tynk, i wszyscy kierowcy z garażu. Aha, jeszcze mama Doroty nie lubi drzewa. I chyba rodzice Pawła też woleliby, żeby drzewa nie było.

A Paweł?

– Musimy zapytać Pawła – postanowił Staszek. – Wczoraj rodzice przywieźli go taksówką do domu.

Ale jak go zapytać, kiedy leży? Nie chcieliśmy chodzić do niego do domu. Nigdy tam nie chodzimy, bo Paweł jest strasznie ważny.

– Wejdziemy po drzewie i po prostu zajrzemy przez okno, niby przez przypadek – powiedział Staszek.

Paweł mieszka na drugim piętrze, w lewej oficynie. Żeby do niego zajrzeć, musieliśmy wejść na piąty konar. Ale cały ubiegły tydzień spędziliśmy właściwie na drzewie, żeby się nim nacieszyć, więc nabraliśmy wprawy.

Zresztą piąty konar jest wyjątkowo wygodny. Prawie jak drabina. Ma mnóstwo mocnych, bocznych gałęzi i dochodzi do samego balkonu.

Siedzieliśmy nad balkonem, kiedy z głębi mieszkania odezwał się głos Pawła:

- To wy, mikrusy? Skoro wdrapaliście się tak wysoko, to już wejdźcie.

Skwapliwie skorzystaliśmy z zaproszenia. Po chwili staliśmy przy tapczanie, na którym leżał Paweł z nogą grubo oblepioną gipsem.

- Ale masz grubą nogę. Prawie jak słoń! - zawołałem z podziwem.

- Prawda? - odpowiedział Paweł. - Jest złamana w dwóch miejscach.

- A będziesz mógł chodzić? - spytał Staszek.

- Doktor mówi, że będę. Tylko mamusia ciągle się boi, że kości się krzywo zrosną.

- A co wtedy? Byłbyś kulawy? - spytałem.

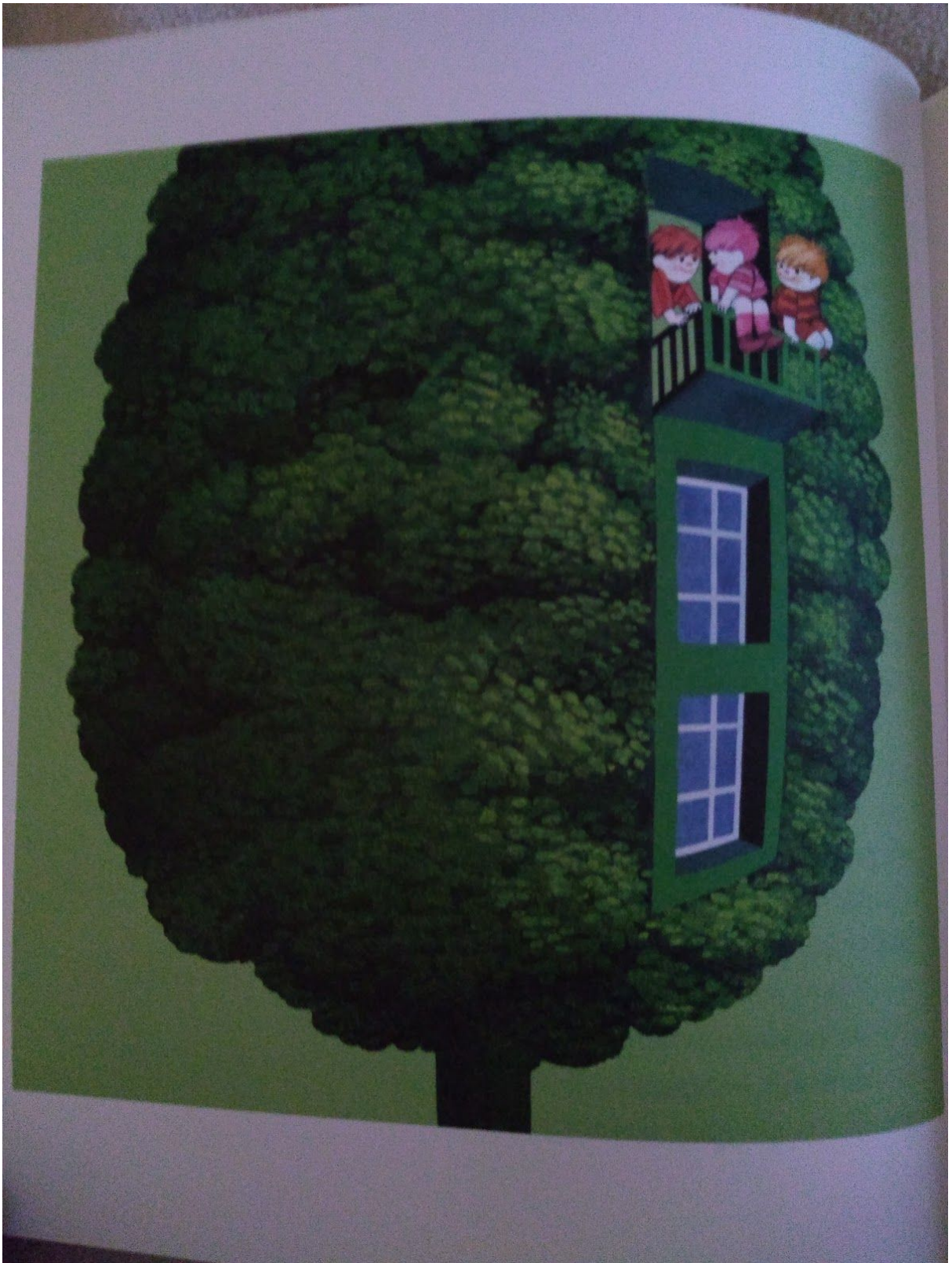
Paweł spojrzał na mnie z wyższością.

- Mowy nie ma! - powiedział. - Gdyby się zrosło krzywo, to mi po prostu drugi raz złamię nogę i na nowo zestawią.

- O rety! - zawołałem. - To ten kierowca będzie cię musiał jeszcze raz przejechać? Nie wiem, czy zechce.

- Głupi jesteś! - parsknął Paweł. - Nie żaden kierowca, tylko doktor mi złamię, w szpitalu. Tak się zawsze robi.

- A wiesz - powiedział Staszek - że ten kierowca i jego kierownik chcą zrąbać nasze drzewo?



Paweł aż usiadł na tapczanie.

- Co ty mówisz?! - zawołał. - To niemożliwe!

- Sami słyszeliśmy - powiedziałem.

Paweł zmarszczył czoło, aż widać było, jak myśli.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedział - nie mogą nam zabrać drzewa. To drzewo jest... no, wszystko jedno... Jest nasze. Będziecie go pilnować, póki nie wyzdrowieję?

- Jasne, że będziemy - powiedzieliśmy uroczyście.

- Dobra - ucieszył się Paweł i dodał łaskawie: - Nie jesteście takie mikrusy, jak myślałem.

Tajemniczy ogród

Od spotkania z Pawłem prawie cały wolny czas spędzaliśmy na drzewie. Przez pierwsze dni babcia trochę burczała:

– Zmałpili mi się wnukowie, nie ma co gadać. Co wy widzicie takiego ciekawego na tym drzewie?

A my widzieliśmy coraz cudowniejsze rzeczy.

Bo to nieprawda, co powiedziała naszej babci mama Doroty, że łazimy po drzewie, żeby wtykać nosy do cudzych mieszkań. Zajrzeliśmy tylko dwa razy do Doroty, kiedy była sama, żeby się dowiedzieć, jak się ma Zezus. Owszem, Zezus ma się dobrze, chociaż mama Doroty powiedziała, że koty są niehigieniczne, bo brudzą. Nasz Maciek jest higieniczny i zawsze miauczy, żeby go wypuścić. A czy to wina Zezusia, że mama Doroty go nie wypuszcza, tak samo jak nie wypuszcza Doroty?

Ale Dorota już nie jest sama. Siedzi z Zezusiem w oknie i macha nam ręką, kiedy wspinamy się z gałęzi na gałąź, coraz wyżej i wyżej. Zadzieramy głowy i przez gęste liście widzimy maleńkie skrawki błękitu.

Jak to będzie wspaniale wejść na sam wierzchołek, wynurzyć się z liści jak z wody i patrzeć w szerokie, niczym nieosłonięte niebo! Czy to w ogóle jest możliwe?

Nagle Staszek zawołał:

– Patrz! Przekroczyliśmy granicę dachu.

Poczułem, że serce bije mi mocniej. Za chwilę zobaczymy coś, czego nie widział nikt. Nawet siwy malarz z poddasza. Jeszcze jedna gałąź. I jeszcze jedna... Aaach!

Nie spodziewaliśmy się takiego widoku. Za prawą oficyną, między dachami starych, brzydkich domów – wisiał ogród. Wiem, że ogród nie może wisieć w powietrzu, tylko musi się na czymś opierać. Na płaskim dachu albo na tarasie. Ale ten ogród wyglądał tak, jakby zsunął się z obłoku, z nieba, z bajki – i zawisł między domami.

– Czy on jest prawdziwy? – szepnął Staszek.

Ale chyba był prawdziwy. Obaj widzieliśmy róże pnące się po murach trzech kamienic, między którymi wisiał tajemniczy ogród. Bo tam rosły same róże, tyle róż, że aż do nas dolatywał ich zapach. A między krzakami róż, na polówce, leżała dziewczynka i czytała książkę.

Mogliśmy na nią zawołać. Na pewno by usłyszała. Ale woleliśmy milczeć. Może baliśmy się, że wszystko zniknie – ogród, róże i dziewczynka?

Postanowiliśmy, że tajemniczy ogród zostanie naszym sekretem. Nie mówiliśmy o nim nikomu. Nawet Dorocie. Nawet Pawłowi. Bo każdy musi mieć jakiś sekret, tak piękny, że nie da się go opisać żadnymi słowami.



Bocianie gniazdo

Następnego dnia znaleźliśmy bocianie gniazdo. Było to bardzo stare koło od wozu, wciśnięte między dwa rozwidlone konary. Na kole zostało jeszcze trochę splecionych gałęzi, z których bociany uwiły sobie kiedyś gniazdo.

- To gniazdo dziadka Frączaka - powiedział Staszek.

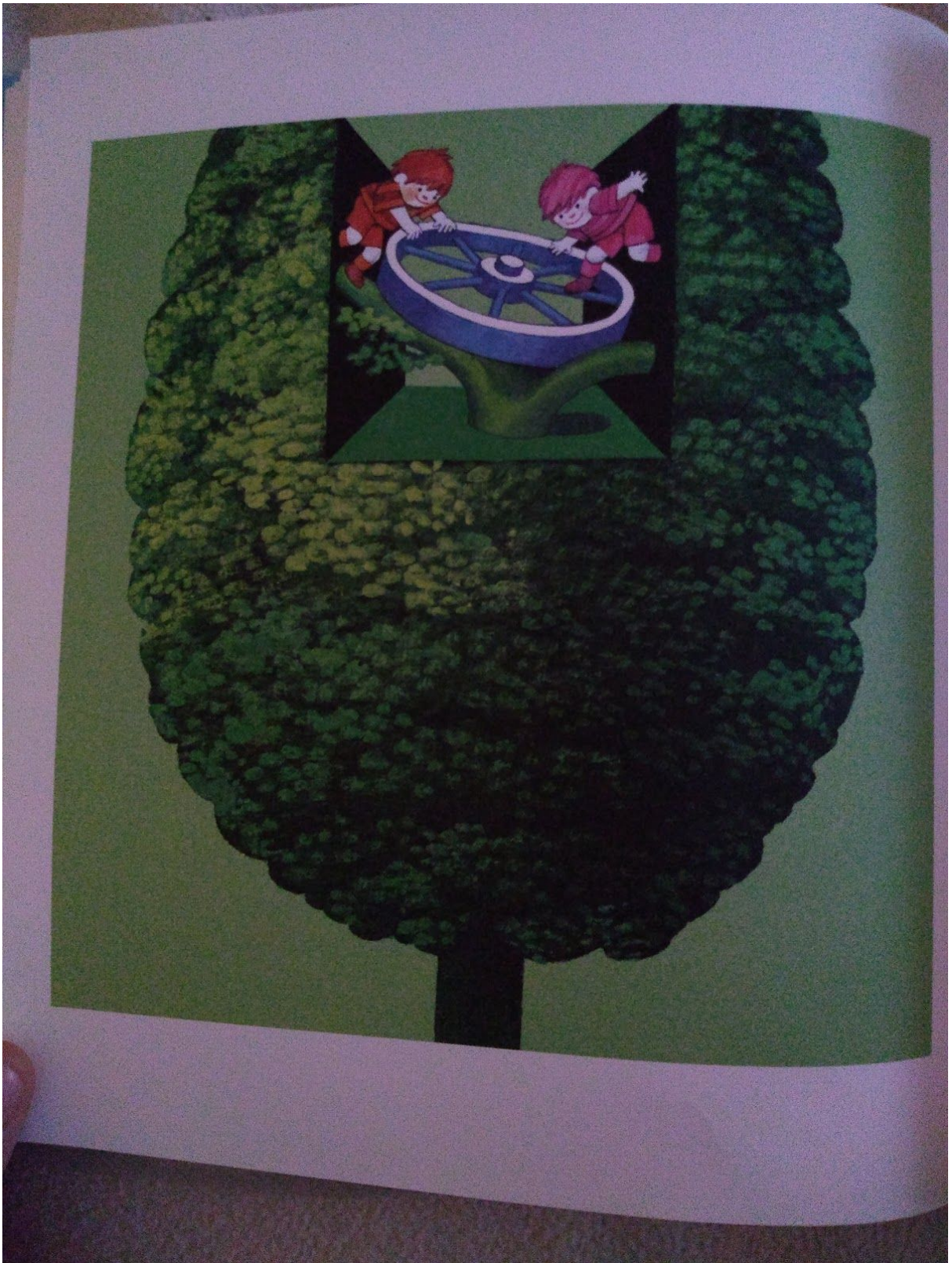
Bo dziadek Frączak opowiadał nam, że dawno temu, kiedy on był małym chłopcem, a w garażu była kuźnia, na drzewie gnieździły się bociany. Tuż za naszą ulicą zaczynały się wilgotne łąki. Bociany przechadzały się dostojnie po zielonej trawie i łowiły żaby. A potem na łąkach wyrosły domy i fabryki. I bociany już nie miały po co przylatywać. Ale gniazdo zostało.

I to było nasze ostatnie odkrycie. Bo już nie mogliśmy wejść wyżej. Dwa konary ponad bocianim gniazdem nie miały bocznych gałęzi. Strzelały wysoko w górę, gładkie i niedostępne, zakończone wielkim, zielonym pióropuszem.

Długo patrzyliśmy w górę. Poczułem, że coś mnie drapie w gardle. Może katar, a może łzy. Ale nie płakałem.

- To drzewo sięga chyba do samego nieba - powiedział Staszek.

I zeszliśmy na dół. Ale wiedzieliśmy, że jutro wrócimy na to samo miejsce.



Całe podwórko za drzewem

W lecie byliśmy na koloniach, a potem u babci w Pruszkowie. A od września zaczęła się poważna nauka w trzeciej klasie. Ale po odrobieniu lekcji, jeśli tylko nie padało, spędzaliśmy parę godzin na drzewie.

W tajemniczym ogrodzie przekwitały ostatnie róże, a liście drzewa nabrały pięknej, czerwonej barwy. Bawiliśmy się wspaniale. Sami, a czasem z Pawłem, któremu kości już się zrosły.

Pewnego październikowego ranka niecodzienny hałas oderwał nas od śniadania. Rzuciliśmy się do okna. Pod drzewem stało kilku robotników z drabiną i piłami. Dwóch już siedziało na pierwszym konarze, a reszta spierała się o coś ze Wspaniałym.

- Nie da rady, panie kierowniku! - wołał jeden. - Jak się odpiłuje cały konar, to pójdą wszystkie szyby parteru.

- Może nawet zahaczy o pierwsze piętro - dodał drugi. - Trzeba piłować po kawałku.

- Róbcie, jak wam wygodniej - powiedział Wspaniały. - Byle skończyć z tą zawalidrogą.

Z zawalidrogą! On nazywa nasze drzewo zawalidrogą!

Nie wiem, w jaki sposób znaleźliśmy się na dole. Pamiętam tylko, że mamusia biegła za nami i wołała:

- Uważajcie! Zlecicie ze schodów!

Wpadliśmy na panią dozorczynię. Stała z zaciętymi ustami, ściskając w ręku miotłę, jakby to był karabin.

– Czy to prawda, pani dozorczyni?! – krzyknął Staszek. – Czy oni chcą ściąć nasze drzewo?

– To prawda – powiedziała. – A tak o nie dbałam, okopywałam każdej wiosny. Tak je podlewałam hydrantem, żeby nie uschło, biedactwo...

– Przecież chyba nie mają prawa bez zgody lokatorów! – zawołała mamusia.

Kochana mama! Więc i ona jest po stronie drzewa!

Ale najwspanialsza była pani Rachlińska. Wychyliła się przez otwarte okno swojej kuchni i zaczęła walić tłuczkiem w patelnię.

W jednej chwili otworzyły się wszystkie okna – i wszyscy lokatorzy przyłączyli się do tego, co później nazwaliśmy Wielką Bitwą o Drzewo.

– Lepiej rozwalcie ten diabelski garaż! – ryczał siwy malarz z poddasza. – Żeby nam tu nie truł powietrza!

– Tak, tak! – wołała mama Pawła. – Zabierzcie te okropne samochody, które kaleczą nam dzieci!

– I spać nam nie dają od świtu! – wrzasnęła krawcowa.

– Pewnie, że kuźnia była lepsza – powiedział dziadek Frączak. – Zawsze to mówię!

– Czy chcecie pozbawić nasze dzieci jedynej radości, jedynej zieleni?! – zawołała mocnym głosem pani Rachlińska.



– Właśnie! – huknął siwy malarz. – A co na to Towarzystwo Ochrony Przyrody?

Po kilku minutach podwórze było zapchane lokatorami. Byli chyba wszyscy, oprócz tych, którzy chodzą do fabryki na siódmą. Była nawet Dorota z Zezusiem w ramionach. A mama Doroty krzyczała tragicznym głosem:

– Spójrzcie na moje dziecko, jakie jest blade! To przez te spaliny! Składam skargę do administracji!

Lokatorzy otoczyli Wspaniałego, który w tej chwili nie wyglądał ani wspaniale, ani groźnie. Był czerwony jak burak.

– A to ci heca! – powiedział jeden z robotników. – Lepiej dajmy spokój drzewu, bo jeszcze nas pobiją.

Ale nikt nikogo nie pobił. Robotnicy zabrali piły i poszli. Wspaniały wyszedł ostatni. Pewnie chciał w ten sposób pokazać, że się nas nie boi.

Odwiedziny

Od Wielkiej Bitwy o Drzewo minęły dwa lata. Już rok mieszkamy w nowym, pięknym osiedlu. Nie ma tu odrapanych kamienic ani ciasnych podwórek. Po lekcjach bawimy się na wielkim zielonym skwerze, gdzie jest mnóstwo miejsca do biegania. Mamy betonowe ścieżki, po których świetnie się jeździ na rowerze i wrotkach. Mamy drabinki, huśtawki, a nawet coś w rodzaju karuzeli.

Z naszego mieszkania na dziewiątym piętrze widać całe osiedle. Widać zielone trawniki i kolorowe kępy róż. Widać też drzewa, które z góry wydają się dziwnie małe.

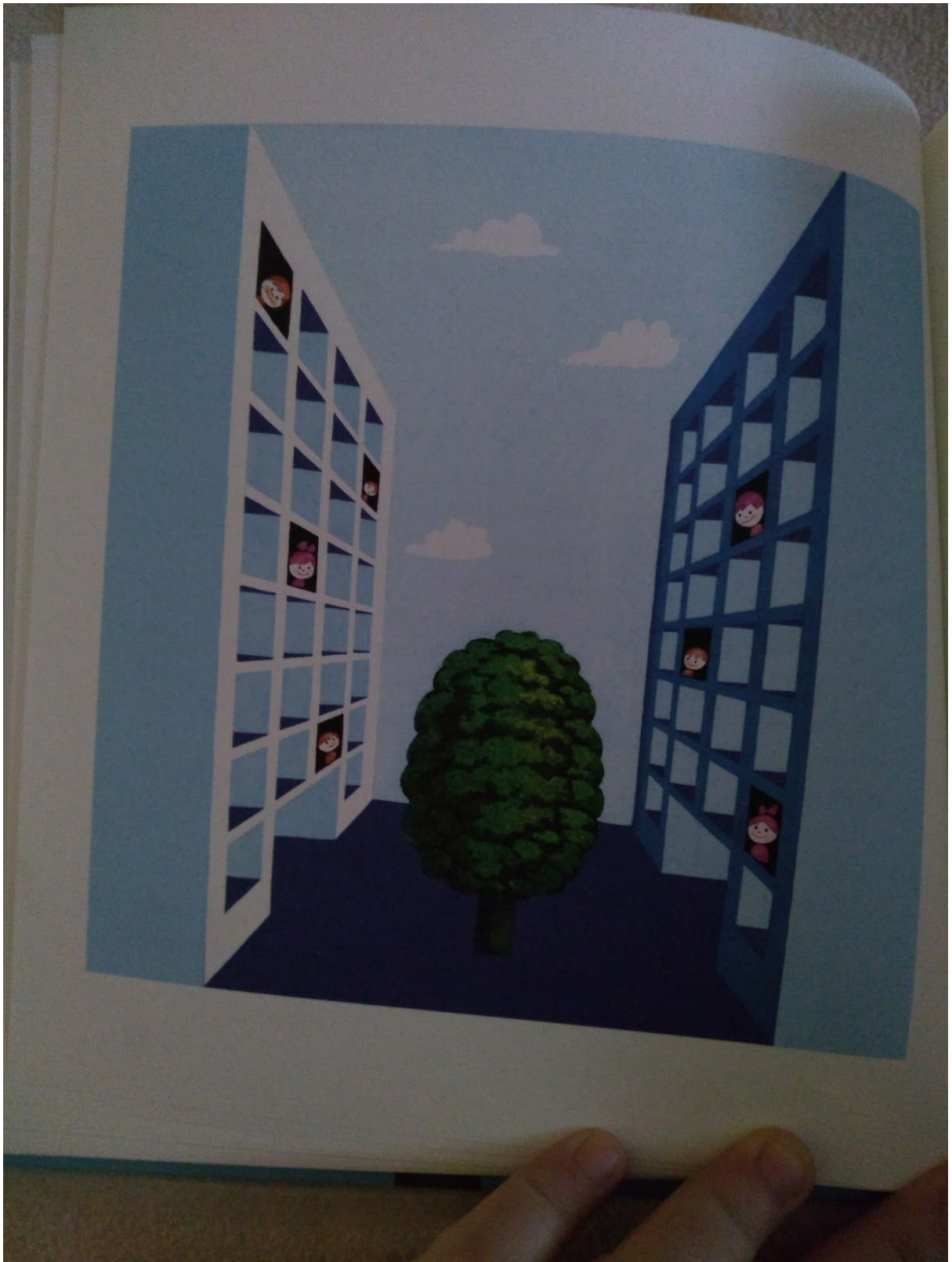
Ale żadne z nich nie jest naszym drzewem. I chociaż z dziewiątego piętra na pewno widać więcej, ale to nie jest to samo. Już nie podamy Dorocie kota przez okno. Już nie będziemy zaglądać do kuchni starej pani Rachlińskiej. I nie odkryjemy tajemniczego ogrodu.

Tu wszystko jest takie jasne, takie nowe, że żaden sekret nie miałby się po prostu gdzie schować.

Czy tatuś i mamusia też czują to samo? Nie wiemy.

Ale pewnej niedzieli tatuś powiedział do nas:

– Czy mielibyście ochotę pojechać na naszą dawną ulicę? Byłem tam wczoraj i mówię wam – nie poznałem naszych starych śmieci.



Po godzinie byliśmy na miejscu. Ale czy to było na pewno to samo miejsce? Czy ta szeroka aleja, na której błyszczał świeżo wylany asfalt, była naprawdę naszą uliczką? Ani jeden dom, ani jedna dziura w chodniku nie przypominała nam zapamiętanego obrazu.

- Tatusiu, a gdzie był nasz dom? - spytałem cicho.

Tatuś wyciągnął rękę.

- Tam. Nie poznajesz drzewa?

Patrzyliśmy jak urzeczeni. Tak, to było nasze drzewo. Poznaliśmy je po bocianim gnieździe w rozwidleniu dwóch najwyższych konarów. Ale teraz drzewo wydało się nam mniejsze niż dawniej. Może dlatego, że nie było już ani prawej, ani lewej oficyny. Ani garażu. Tylko o kilkadziesiąt kroków dalej, może właśnie tam, gdzie był dom z tajemniczym ogrodem, stał nowy, jeszcze nieoszlony wieżowiec.

Wkrótce zamieszkają w wieżowcu jakieś dzieci i będą patrzeć z okien na wierzchołek naszego drzewa. Ale dla nich to już nie będzie drzewo do samego nieba.



Spis treści

Drzewo	3
Pierwszy konar	6
Drugi konar	10
Zaklęta Dorota	13
Zezus	17
Zdobycie Szklanej Góry	21
Nieprzyjaciel pod drzewem	25
Bożena płacze	30
Paweł w gipsie, a my w łaskach	34
Tajemniczy ogród	38
Bocianie gniazdo	41
Całe podwórko za drzewem	43
Odwiedziny	47

O autorce:

MARIA TERLIKOWSKA (1920-1990) – pisarka, dziennikarka, autorka słuchowisk radiowych, programów telewizyjnych i scenariuszy do filmów animowanych. Debiutowała w 1950 r. w prasie dla dzieci. Stała współpracowała ze „Świerszczykiem”. Pisała prozę wierszowaną dla dzieci, w której popularyzowała wiedzę, między innymi z zakresu matematyki (np. *Czarodziejskie trójkąty*), geografii (np. *Chodzi mucha po globusie*), biologii (np. *Kle-kle-kle*), meteorologii (np. *Pan Zefirek szuka słońca*). Jako mistrzyni zabawy językowej umiała w krótkiej, prostej i dowcipnej formie przybliżyć młodym odbiorcom zagadnienia z dziedziny nauki i życia codziennego. Była także autorką tekstów piosenek, opowiadań i utworów prozatorskich dla starszych dzieci (np. *Drzewo do samego nieba*). Wydała dwie książki kucharskie dla dzieci, cieszące się ogromną popularnością: *Kuchnia pełna cudów* i *Kuchnia z niespodzianką*.

W wydawnictwie MUZA ukazały się dotychczas trzy nowe wydania książek autorstwa Marii Terlikowskiej: *Chodzi mucha po globusie* i *Przygody kropli wody* – obie z fantastycznymi ilustracjami Bohdana Butenko – oraz *Drzewo do samego nieba*.

O ilustratorce:

TERESA WILBIK (ur. 1938 r.) – malarka i ilustratorka. Studiowała na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w pracowni prof. Jana Marcina Szancera. Zajmuje się ilustracją książkową, plakatem i projektowaniem okładek. Jest autorką ilustracji i opracowań graficznych książek i czasopism dla dzieci. Od lat sześćdziesiątych XX wieku zilustrowała ponad 50 książek, w tym wiersze i prozę najpopularniejszych twórców dla dzieci i młodzieży, między innymi Juliana Tuwima, Jana Brzechwy, Wandy Chotomskiej, Joanny Papużyńskiej, Danuty Wawiłow, Adama Bahdaja, Zbigniewa Nienackiego, a także bajki i baśnie La Fontaine’a, Hansa Christiana Andersena i Charles’a Perraulta. Zdobyła wiele wyróżnień krajowych i zagranicznych. W 2007 roku otrzymała Medal Polskiej Sekcji IBBY za całokształt twórczości dla dzieci i młodzieży.

W wydawnictwie MUZA ukazały się dotychczas trzy nowe wydania książek z ilustracjami Teresy Wilbik: *Leonek i lew* autorstwa Wandy Chotomskiej, *Kolory* Joanny Kulmowej, *Drzewo do samego nieba* Marii Terlikowskiej.

